KAMENA

MIESIĘCZNIK
LITERACKI

ROK V NR 1

ROK V **KAMENA** NR 1 (41)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

WRZESIEŃ 1937 R.

TREŚĆ NUMERU PIERWSZEGO

HIERONIM MICHALSKI	Cierpienia współczesnych Werterów . . .	str. 1
JAN BRZĘKOWSKI	Strach . . .	„ 4
JULIAN PRZYBOŚ	Pomnik . . .	„ 4
STANISŁAW WYGODZKI	* * * . . .	„ 5
MIECZYSŁAW JASTRUN	* * * . . .	„ 6
ANTONI BOGUSŁAWSKI	Tulipan . .	„ 6
JÓZEF ANDRZEJ FRASIK	List do siostry .	„ 7
ADOLF CZERNY	Masarykowi-Oswobodziciel.	8
VITIEZSLAV NEZVAL	Z przedmieścia .	„ 10
STEFAN NAPIERSKI	Młodzi poeci poznańscy	„ 10
JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI	Na wierzchołku Ojos del Salado . . .	„ 15
WIELFRED OWEN	Antyfona za poległą młodzież 1918 . .	„ 18
Kronika słowiańska	. . .	„ 19
Noty	. . . . .	„ 20

Wkładki linorytowe ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:
Martwa natura

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.
Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.
Wydawca: Zenon Waśniewski.
Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43
Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki.
Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr. Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym. Numer okazowy „Kameny" wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

CENA NUMERU 60 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura" Chełm Lub. 10.

VZ

KAMENA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK V WRZESIEŃ 1937 R. NR 1 (41)

CIERPIENIA WSPÓŁCZESNYCH WERTERÓW

Czy trzeba kruszyć kopię w obronie coraz częściej powracającej tezy o przejściowości naszej epoki? Raczej można to przyjąć jako — tragiczną w pewnym sensie — oczywistość. Tyle jest oznak tego. Symbolizm był zakończeniem ostatniego okresu. Wszystkie izmy, których zawierucha przeszła na kilka lat przed wojną i w latach powojennych, z jednej strony wymieniały na drobną czy też inną monetę pewne wartości symbolizmu, a z drugiej strony daremnie, chociaż uporczywie, poszukiwały wartości nowej epoki. Potąd trwa jeszcze ten przejściowy okres przewartościowywania wartości. W tym jednak, co poczytać wypada jako jego znamiona, mogą już być zatajone niejakie cechy owej nowej epoki.

Z tego właśnie względu warto zwrócić uwagę na niektóre charakterystyczne tendencje, objawiające się w naszej najmłodszej poezji.

Otóż godny podkreślenia jest przede wszystkim ten fakt, że prawie każdy nowopojawiający się talent nosi wyraźnie cechy wzrastania w atmosferze nowatorstwa. Mniej liczną grupę debiutantów reprezentuje typ poety tradycjonalisty, u którego jednak uwidacznia się przejmowanie niektórych zdobyczy nowatorskich. Bardzo rzadko natomiast zanotować można udatne debiuty z pod znaku poezji Skamandra, tej, ogólnie biorąc, najbardziej ortodoksyjnej grupy tradycjonalistów

Ów zakres wpływów nowatorskich, jaki uwidocznić dało się najlepiej na linii debiutów, jest doprawdy zastanawiający. Ale charakter samego oddziaływania musi obudzić pewne zastrzeżenia przy próbie wyciągnięcia wniosku z tego stanu rzeczy Można by mianowicie określić ten charakter jako z a ś c i a n k o w y Nie widać bowiem wśród plejady debiutantów, wzrastających w atmosferze nowatorstwa, żadnej bodaj znajomości prądów nowatorskich zagranicznych, które przecież były źródłem

a przynajmniej podnietą dla czołowych przedstawicieli naszej t. zw. awangardy. Ta samowystarczalność krajowa pociąga za sobą niemałej wagi skutki. Trzeba zdać sobie sprawę, że twórczość naszych awangardzistów nie całkiem mieści się w ramach nowatorstwa. W tym zatem wypadku nawet nie może być mowy o istotnym ich wpływie nowatorskim. Obserwować można jedynie przejmowanie niektórych osiągnięć, które mają w młodych oczach walor nowatorski. Ale zdobycz artystyczna, oderwana od praw dynamiki indywidualności, która ją zrodziła, przestaje mieć znaczenie zdobyczy—jest jedynie sztuczką. Otóż w naszej najmłodszej poezji rozpościera się władztwo takich sztuczek. Brak natomiast przejęcia rzeczywistych kategoryj nowatorstwa. Z tego względu trudno dla atmosfery oddziaływań nowatorskich znaleźć właściwy wymiar wśród tendencyj, przenikających tę najmłodszą poezję. Nastręczający się wniosek wyraziściej zapewne zarysuje się na tle innych tendencyj, na które tutaj chcemy zwrócić uwagę.

W pierwszym rzędzie przyjrzeć się trzeba zjawisku, które budzić poczyna coraz więcej zajęcia, mianowicie wzmaganiu się żywiołu epiki. Z tym zjawiskiem wiążą się różne zdania. Czy poczytać to jedynie jako reakcję występującą po okresie symbolizmu, który był prawie wyłącznie okresem liryki? Ta koncepcja jest niewątpliwie nazbyt ciasna, jak znowuż nazbyt śmiała jest koncepcja renesansu epiki. Przeciwko nim obu świadczy bliższa obserwacja wspomnianego zjawiska. Trzeba bowiem wskazać, że wzmaganie się żywiołu epiki nie łączy się z wypieraniem liryki. Raczej jest tak, że to liryka wzbiera elementem epickim, że w ten sposób niwelują się różnice między liryką a epiką i że wskutek tego te dwa przeciwstawiane sobie dawniej elementy wykazują dążenie do całkowitego zespolenia. Jedno, co domaga się podkreślenia w tej dokonywającej się symbiozie, to właśnie fakt zatracenia się autonomiczności cech gatunkowych tak liryki, jak epiki, zacieranie się odrębności dwóch grup. Powstaje oto jakiś pośredni dział literacki, ale jest jeszcze bezkształtny, nie posiada jeszcze dynamiki, która by pozwalała nazwać go nowym działem literatury. Trudno przewidzieć, jaki charakter przybiorą te doniosłe następstwa wzmożenia się żywiołu epiki. W każdym bądź razie takie przesunięcia, które tu zostały wskazane, uważać trzeba niewątpliwie jako znamiona epoki przełomu.

Dalszy moment, który nastręcza się uwadze ze względu na ten kierunek obserwacyjny nad naszą najmłodszą poezją, posiada równie ważki aspekt, odzwierciedla się w nim wyraźna cecha bezkształtności tej poezji. Chodzi mianowicie o szeroko

występujące zjawisko zacierania się charakteru i konturu rodzajów, gatunków czy form literackich. Niesłychane ubóstwo formalne tej poezji, która stoi pod znakiem formalizmu, trzeba uważać jako wynik obniżenia się kultury poetyckiej u młodych adeptów poezji. Ten brak zróżnicowania formalnego powoduje właśnie bezkształtność najmłodszej poezji. Ale i tu główną przyczynę tego stanu rzeczy można upatrywać w czym innym, niż w niskim poziomie kultury poetyckiej. Jest w tej niwelacji poszczególnych form literackich, w tym sprowadzaniu najróżnorodniejszych wyspecjalizowanych form do ich negacji: bezkształtności — coś zupełnie podobnego do tego, co występowało przy zacieraniu się różnic pomiędzy typami liryki i epiki. Jednaki zapewne w tych dwóch zjawiskach tai się impuls, a raczej te dwa zjawiska są pokrewnymi hipostazami tego impulsu, który jest tym x-em, tą trudną niewiadomą w układzie równań współczesnej przejściowej epoki.

W tym drążącym podskórnie a nieujawnionym jeszcze impulsie można także zawrzeć fakt szerokiego zasięgu oddziaływań atmosfery nowatorstwa. W nim tylko można znaleźć właściwy wymiar tego faktu, nawet mimo wskazanego charakteru tych oddziaływań. Tendencje zacierania się różnic gatunkowych między liryką a epiką, tendencje niwelacji form literackich, godzące w kanony dotychczasowej estetyki, — łączą się z tendencjami nowatorstwa, zmierzającego do odnalezienia praw nowej estetyki. Najmłodsza nasza poezja, w której te tendencje znajdują odzwierciedlenie, jest z tego względu w pewnej mierze wyrazem przejściowości swej epoki. Ale nie zostaje to bez wpływu, co więcej: wpływu, w którym tkwią pierwiastki akonstrukcyjne, burzycielskie. Niemożność wykroczenia poza ten wpływ — to właśnie cierpienia współczesnych Werterów tj. większej części naszej najmłodszej generacji poetyckiej. Chociaż przytłoczona brzemieniem siły fatalnej swej epoki przełomu, może to generacja nie całkiem w tym znaczeniu tragiczna, może jednak jej trud pozwoli następcom zbliżyć się do zwycięstwa?

HIERONIM MICHALSKI

Czas odnowić prenumeratę „Kameny" na pierwsze półrocze (2 zł. 50 gr)

Czytajcie i rozpowszechniajcie „KAMENĘ"

STRACH

rzeczy ważnych nie chwycić w dłonie
ale zawrzeć usta o usta
ale wstrząsnąć rozmiarami burzy chrzęst
różą wiatrów we włosach rozwinąć
nie przeminąć
trwać

walką dnia i nocy rażony lękiem granic zdjęty bez miary
zasłoń widnokrąg ustami
jak kogut skrzydłami bijący
na torfowisku nocy
pożar bijący w mgłach
grzebień czerwony, czerwony grzebień który w nocy wykuł
strach
strach — w bezokoliczniku.

JAN BRZĘKOWSKI

POMNIK

Dachy — obłupione przez dozorców pasami na flagi.
Ulice — wycelowane w pomnik.
Waltornie wyryczały gromadę, capstrzyk stado wytupał.
Chór —
i pode mną wzbił się dom — i stał nagły.

Jakby werbel strop nad głową rozłupał.

I tu, wysoko nad miastem, po kolumnach się do mnie
wyspinają, wyszumują na postument — —
(armaty — wylotami w pomnik)
runą pierwszymi piętrami na pierwszego trupa.

Mur
podmyty tłumem:
pomnik.

JULIAN PRZYBOŚ

* *
*

1.

Szuwar nad wodą chwiał się i szumiał,
w zachód liściasty koral się wpiął.
Gdybym potrafił — gdybym ja umiał,
to bym tę kroplę czerwieni zdjął.
I rzucił w gęstwę, cisnął w liściaste,
w rozkołysane po ciemny brzeg.
Gdybym potrafił — przeszedłbym miastem,
szumu słuchając — nic bym nie rzekł.
Szedłbym tym szumem w spojrzeniu mając
tamtą kropelkę w zielonym tle.
Szuwar szeleści liście trzymając
jak palce wsparte o siebie źle.

2.

Już nie zapomnę szumu nad wodą —
już się wspomnieniem nawet nie zmagam.
Szumi listowie w drzewach ogrodu,
ciemność zagarnia jak mokra flaga.
I ciemność minie — oczy zabolą,
kiedy zaszumi pobliskim wtórem
lampa sycząca na moim stole —
zamiast ogrodu — miasto za murem.
Lecz nie odejdą liście szuwaru
wsparte o siebie jak ciemne dłonie,
które zakwitły już od chwil paru
nisko na nieboskłonie.

3.

Późna godzina — rzekłbym: kur
zaraz zapieje rozgłośnie.
Za moim oknem wyrasta mur,
im widniej, tym wyżej rośnie.
Zaraz przesłoni niebo i świat,
rzekę i szuwar, co zamilkł,
i kiedy pióro będę znów kładł,
oczy nabiegną łzami.
W rozkołysaną gestwę i liść
za późno powracać wcześnie
i szumiał szuwar, gdy chciałem iść:
czeremosz,
czeremcha,
czereśnie.

STANISŁAW WYGODZKI

*
* *

Oparła gwiazdy na mych plecach
Noc fosforyzująca.
Oglądam się — to zgasła świeca
I w locie cień potrąca.

Krzemieniem ugwieżdżona góra
Przygniotła dzień powrotu.
Zgaszone lampy, popiół w urnach
I sanskryt twej tęsknoty.

I cały świat, co wewnątrz płonie,
Zamknięty źrenicami,
Kiedy niesyte nigdy dłonie
Sterować chcą cieniami.

Darmo, skazani na wygnanie,
Cięciwę natężamy
— Jak tarczą osłonięci trwaniem —
By z siebie wyjść jak z bramy.

MIECZYSŁAW JASTRUN

TULIPAN

Pokoik na kawalerce,
wysoko — jakby na wieży...
Drzwi, jeśli nie są zamknięte,
otwarte są na ścieżaj.

Otwarte tym, co przychodzą,
otwarte byle komu;
jak który — to bywa grzeczny,
co trzeci się ukłoni.

Na oknie, jeszcze nie w wodzie,
leżą dwa tulipany:
tylko co przyniósł dziewczynie
te kwiaty jej kochanek.

Nie napomstował, nie krzywdził,
pieniędzy nie zabierał
(gadał, że forsistego
nabrali dziś frajera).

Dziewczyna patrzy w tulipan:
okrutnie lubi to zielę!
Dobrze by za Marymont
w niedzielę pójść z przyjacielem!

Wtem — gość...
—Pan kogo uważa?...
—Czy można?...
— Bardzo proszę...
W dęciaku wszedł. O tulipan
zagasił papierosa.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

LIST DO SIOSTRY

Brzozami cię otulić, siostrzyczko,
wierzbinami owinąć, jak w sukienkę do trumienki,
chyba ci jeszcze ten nad głową rozpięty błękit
i te ścieżki, które odeszłasz, i to wszystko.

Lecz, siostro, nie gniewaj się, że pierwszy od lat sześciu list
Nie pisałem, jakiż adres; na jaką wysłać pocztę?
Lecz, siostro, ty pewnie ostrzegasz, bo zawsze przed złem twój
[obraz mi się śni.
Lecz, siostro! Co z tymi snami niezrozumiałymi pocznę?

Sześć lat. Pomyśl: jaki-to ogrom nas obszedł —
i tak samo to życie dalej się toczy bez nas:
Ojciec dalej skalistą ziemię orze,
a ja? — Ja dalej uśmiechy nienarodzone zbieram.

Anielcia umarła jak ty i razem pewnie jesteście;
pola sprzedano, narosło dużo domków —;
mamy teraz elektryczne światło jak w mieście,
dużo fachów, lecz każde dziś prawie bezrobotne rzemiosło.

Brat twój maleńki jest już chłopcem:
za rok zawiąże krawat, papierosa skrycie będzie ćmił.
Ty układałaś go do snu, lecz imię twoje dla niego obce.
Pomyśl zresztą. Jaki czas. Ile dni.

Z sąsiadami wiosną jak zwykle kłótnie:
ten wydepcze, ten ukradnie, tamten zaorze —
lecz, siostro, nie piszę ci, że dlatego jest może smutniej,
nie piszę ci, że dlatego jest może gorzej.

Maria wyszła za mąż, dzieci nie ma,
stara Walercia w tym roku pewnie i nieszczególnie wyjdzie,
ciotce za długi i za podatki dom trzeba będzie sprzedać,
a to jest może nie ważne, że polami najpiękniejsza wiosna idzie.

Chciałem ci jeszcze napisać, że toczy się wojna (nie u nas),
że w oczach ludzi coś rośnie, coś wrze, coś dojrzewa —
u nas, w Polsce — Piłsudski umarł,
u nas dni mają oczy niebieskie, a „radość" aż się z zagonów
[przelewa.

Matce coraz więcej zmarszczek przyrasta,
na schodach staje — lecz pobożna jest jak dawniej;
ojciec, wiesz dobrze, nie jest także bez winy dla niej —
więc, siostro, gdy możesz, proś, by kiedyś jeszcze wesoły dzień
[nam nastał.

Tak kończę pierwszy list: pąk wiązanego słowa:
Czy jesteś gałązką wiosny,
czy jesteś ciszą wieczorną, dzwonkiem rosy —
list przyjmij, wysłuchaj.
Bądź zdrowa.

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

MASARYKOWI — OSWOBODZICIELOWI

Duch świata Cię zawołał— a tyś milcząc szedł,
gdy dwunastą miał zegar wydzwonić wiekowy,
gdy lud Twój musiał znowu krwawo ugiąć grzbiet,
mrzeć za tego, co jarzmo dał mu i okowy.

Duch Cię dziejów nauczył, jaką drogę wziąć
z ojczyzny w dal ku Alpom, skroś wierchy i skały;
a Ty w sercu jej obraz uniosłeś na pąć,
jeszcze smutniej po nowych ranach oniemiałej.

Całujesz żonę, dzieci i dom żegnasz swój,
wzrok ostatni raz tkliwie spoczął na Hradczynie:
myśl Twa świetnych przeszłości cieniów widzi rój...
i już odważnie ruszasz ku obcej krainie.

A kiedyś się o wielkich przodków cienie wsparł,
w rozhoworze ich dzieła znów dla Cię ożyły;

białość czynów i czerwień ich ognistych mar,
podwójną się potęgą wlewa w Twoje żyły

Chełczyckiego — z południa Czech — i Żyżki duch
owiał Cię, taboryckie dały moc ramiona,
z alpejskich dolin wyszedł Havliczek, Twój druh,
w Konstancji płomień Husa wdarł Ci się do łona.

A im się wydłużała od Twej ziemi dal,
tym bliżej był Ci Amos, co też w cudze kraje
zbiegł, za ojczyznę niosąc prośby, krzyki, żal; —
dziś jak Spół-Pielgrzym Tobie w Labiryncie staje.

Gdy całą siłę wieków naród w pierś Ci dał,
z ziemi śpieszysz do ziemi, z dzieła mkniesz do dzieła;
otchłań Cię mórz nie trwoży, ni bałwanów szał,
jakby zryw, moc milionów w sercu Twym spoczęła.

Twój lud milczał. — Ty byłeś głosem jego ust'
wobec wielkich tej ziemi byłeś jego mową,
Tyś się skarżył, gdy szczuto go śród własnych bruzd,
gdy obcy zbrodzień kładł mu koronę cierniową.

Jego syny, rozpierzchłe po świecie jak pył,
jak poszczute przez wilka owce bez pastucha,
Tyś w ład zagarniał, na odwet dolewałeś sił,
Tyś im jak prorok krzepił odwagę i ducha.

Ty, głosiciel pokoju, na ostatni bój
śmiercionośnej im w ręce dałeś błyski stali,
za wolność, za swój naród, słodki język swój,
a oni — życie niosąc — ochoczo konali:

Cel Twój spełniony: pęta spadły z rąk i nóg,
lud z drżącym czeka sercem Oswobodziciela.
Możesz wrócić w ojczysty rozkwiecony próg,
z gór do gór brzmią wdzięczności śpiewy i wesela.

Wdzięczność współczesnych, przodków i potomnych masz,
bo się w Twym czynie jarzmo czterech wieków łamie,
my — czy nam śnieg na skroniach, czyli w różach twarz,
przysięgamy Ci godnie nosić Wolnych znamię.

ADOLF CZERNY
z czeskiego przełożyła Julia Wieleżyńska

Z PRZEDMIEŚCIA

Mateczka co dzień około dziewiątej
Wychodzi na ulicę
Cichutko do mnie tak szepcząc
Boże tak dziwnie mi szepcząc
— Nie bój się nic dziecinko przy tobie anioł stróż

Chciałabym wiedzieć co w naszym zegarze
Wciąż koło dziewiątej matuchnę mi straszy
Co w nich tam czyha
Że mi mateczkę wypędza tak późno
W okrutne noce złe noce lutowe

I już mnie potem nie cieszy
Pieniądz przypochlebny
Których wszak wiele mateczka
Przyniesie od obcych ludzi

Ale już wiem ale już wiem
Co zrobię jutro gdy się ściemni
Zatrzymam zegar aby nie szedł
Wypędzę złego krasnoludka
Który matuchnie spać nie daje
Aby już nie musiała
Po przypochlebnych czarnych groszach
Po biednych groszach ludzkim brudzie
Myć białych swoich rączek

VITIEZSLAV NEZVAL
z czeskiego spolszczył K. A. Jaworski

MŁODZI POECI POZNAŃSCY*)

I

Nazwiska młodych pisarzy, o których zamierzamy tu mówić, znane są nam z łamów periodyku „Prom". Od kilku lat, pomimo obojętności społeczeństwa wielkopolskiego dla spraw artystycznych, lub też nadmiernego regionalizmu literackiego dzielnicy tej o starej i tradycyjnej kulturze, pomimo niechęci wreszcie poznańczyków dla wszystkiego, co wykracza poza ramy ustalone od dziesięcioleci, grupa inteligentów, wśród której reprezentowani są lekarze, absolwenci filozofii, oficerowie czynni, przez nikogo niepoparta, wydaje pismo, poświęcone zagadnieniom kultury artystycznej.

Rad byłbym, gdyby słowa te dotarły do wszystkich, dla których

*) Halina Brodowska: „Madonna z Portofino", Poznań 1935. Zygmunt Psarski: „Mosty", Poznań 1935. Edwin Herbert: „Dęby kwitną", Poznań 1935. Bronisław Przyłuski: „Dalekie łąki", Toruń 1935.

sprawy piśmiennictwa nie są kaprysem ludzi utalentowanych, lecz kardynalnymi wiązadłami narodowej cywilizacji. Wszystkich tych poetów omawiałem przed rokiem z górą na łamach „Drogi". Obecnie, mając przed sobą książki, a nie pojedyńcze utwory, pragnąłbym podsumować i pogłębić tamte wrażenia.

Halina Brodowska to jedyna kobieta pośród „promistów". Debiut jej jest interesujący, aczkolwiek mało jeszcze wykrystalizowany Pierwociny te przypominają nieco Jasnorzewską, tylko mniej wyraźną, bez daru precyzyjnej, ostrym kryształkiem obrysowanej plastyki, jaka znamionuje bibeloty „Baletu powojów". Wszyscy ci lirycy, a wraz z nimi Brodowska, niewątpliwie wyrośli z Bolesława Leśmiana: tu po raz pierwszy w polskiej liryce k o b i e c e j znajdujemy twórczy wpływ autora „Łąki" W związku z tym wiersze młodej pisarki znamionuje doznanie artystyczne (nie forma) wielce nowoczesne; jest to poezja epoki Bergsona, ujmowanie świata nie jako zastanej rzeczywistości, którą należy przekomponować i uładzić, lecz jako realności przemiennej, niejako wyzwalającej się z siebie ku coraz wyższym wcieleniom, ku właściwym narodzinom. Nie trudno postawę tę powiązać z postawą Słowackiego, i na tym polega jej polskość. Rzeczywistość empiryczna dla takiego poety jest jakby kokonem, z którego za magiczną jego władzą wyłania się powoli tajemniczy motyl. Jeśli nastawienie takie zakwalifikować z punktu widzenia kulturalnego, to przyznając mu walory kreacyjne (w przeciwieństwie do liryki, która świat jeno opisuje), przyznać trzeba, iż jest to nawrót do m i t u; przeżywamy tu zatem nieoczekiwany w Polsce wieku XX renesans n e o r o m a n t y z m u, który pośrednio nawiązuje również do Micińskiego. Ciągła przeobrażalność świata, jego n i e w y k o ń c z e n i e jak gdyby, wpływa z kolei na psychikę artysty, kształtuje ją w sposób płynny, więzi; najprostsze przeżycie dla poety takiego staje się bajeczne, jak owa „nazwana prosto noc, rozlana w zagrody". Nazwana prosto, a zatem wielce nieprosta; następuje powrót do praelementów istnienia jednostki, a nie jest to jakowaś poezja filozoficzna, która zawsze jest sztuczna, nawet u tak wielkich umysłów, jak Valéry, lecz p o e z j a j a ź n i. Teatrum mundi zamyka się nieprzekraczalnie w obrębie samotnej świadomości poety, i to jest tragizm takiej twórczości, tragizm religijny.

Iracjonalizm i zaklęcia, gusła i czary, by jakoś dotrzeć do rzeczywistości, by w ogóle m ó c j ą s t w i e r d z i ć; w polskiej liryce kobiecej jest to objaw bez precedensu. Dlatego taki wyborny „Brzask" Brodowskiej, godny Jasnorzewskiej, a nawet przypominający ją w budowie stroficznej i rytmicznej, wykracza zarazem poza nią. Jest to skądinąd impresjonizm doprowadzony do krańców niebezpiecznych: gdyż w r a ż e n i o m, choćby najbardziej przelotnym, a które mają być kluczem do zawartych bram świata, siłą rzeczy przypisuje się tu n a d m i e r n ą wartość. „Nie można nic wziąć na własność" — pisze spokojnie autorka w jednej ze swoich pięknych ballad; i tak to poezja ta, poezja przeżycia zewnętrznego, które nie zdoła dotrzeć do ożywczej, uchwytnej realności, poprzestać musi na heroizmie ogołocenia. Jest to godne szacunku, lecz jest to zarazem ślepa uliczka dla wszelkiego pisarstwa. Przejmujące i odziemskie wizje, lecz widzenia naogół zmętniałe, są wynikiem takiej postawy. Głęboka, chociaż heretycka, a nawet pogańska nieco religijność, znamionująca Brodowską, każe jej posługiwać się niedopowiedzeniami, przemilczeniami, pauzami muzycznymi; skrytość serca i lęk, by nie pokalać zaczarowanego świata, zmusza ją do stosowania bezustannie fermaty poetyckiej. Jest to bardzo oryginalne, a niekiedy, jak w „Przejściu nad Niagarą", daje wyniki zdumiewające pełnią i dojrzałością, a przecie rezultat nie wykracza poza hermetyczność. Tej wybitnie uzdolnionej poetce przydałby się na przyszłość większy rygoryzm wersyfikacyjny; lecz wszyscy „promiści" są, jako lirycy, amatorami nieco; cenny jest ten dyletantyzm, gdyż gwarantuje autentyczność duchową, uniemożliwia wszelkie skostnienie zawodowe i popisowość (te dwa czynniki, pustoszące współczesną poezję polską), a jednak przydałoby się tutaj staranniejsze i bardziej intelektualne rozbudowanie własnej sztuki poetyckiej. Niepodobna przecież poprzestać na samym instynkcie.

II

Tom szósty „Biblioteki Promu" to podobnie zbiór debiutanta, Zyg-

munta Psarskiego (pseudonim J. W Kapuścińskiego). Genealogia, wywodząca się bezpośrednio z Leśmiana, jest tu bardziej jeszcze nieuchwytna niźli u Brodowskiej, sam natomiast sposób wersyfikacji, opracowywania materiału poetyckiego, przypomina raczej miary tradycjonalne. Psarski, jak dotychczas, jest mniej silną indywiduainością od swych kolegów, i właśnie u niego jawnie możemy śledzić, do jakiego stopnia osobną tworzą oni grupę, jak odrębny jest ów „prom", kołyszący się na bocznych wodach współczesnej poezji polskiej. To jest skądinąd ich zasługa, że nie poszli owczym pędem za poezją dokonaną już czasu Polski niepodległej, poezją uznaną i popularną, że nie przemienili się, słowem, w epigonów, czy to jako kontynuatorowie, czy też jako jej odszczepieńcy. Spróbowali po prostu od głównej rzeki się oderwać, z różnym, oczywista, skutkiem w każdym poszczególnym wypadku.

Psarski, natura nawskroś refleksyjna, upodobał sobie miary długie i spokojne, w każdym razie miary ustalone ściśle, lecz kłóci się z tym niejednokrotnie brak czulszego poczucia rytmicznego; rytmika bywa tu zmącona. Ta skłonność do epickiej w ramach symbolizmu wypowiedzi narzuca mu poza tym upodobanie do pewnej dekoracyjności, nieco zdawkowej. Takiej postawie grozi zarówno dyletantyzm, jak artystostwo. Niepokój, jakiemu dają wyraz wszystkie prawie wiersze, jest ukostiumowanym niepokojem estety. Z drugiej strony wiemy, iż Psarski, kiedy pisze o „gwiezdnej tajemnicy", jest szczery, gdyż w grupie „promistów" każdy nowopowstały wiersz jest w y d a r z e n i e m, omawianym wśród przyjaciół, budzącym zachwyt lub zastrzeżenia. Można wyrazić jeno podziw, iż w Polsce dzisiejszej znalazło się grono inteligentów, dla którego sprawy sztuki i dojrzewania duchowego są tak nieodzowne i naturalne, jak powietrze.

Skądinąd zgromadzone tu utwory, mimo swej powagi, naturalne nie są, przeciwnie, nieco afektowane w samym wyrazie. Taka „Kucharka i Bóg", nienaganny utwór, to pomysł dobry, wywodzący się, zresztą, z Rimbaud'a, lecz przeciągnięty ku nadmiernej, deklamacyjnej poprawności. Wybornym natomiast i bardzo pięknym utworem jest zamieszczony w części I. zbioru „Wieczór", wiersz o budowie dziesięciozgłoskowca, silnie akcentowanego, utwór przez to już choćby zatrącający o neoklasycyzm.

W drugiej części tomu bardzo zajmującym poemacikiem jest „Auto da fé" z wyraźnymi pogłosami Micińskiego. Podobnie jak autor „W mroku gwiazd", Psarski usiłuje stworzyć mit i na równi z tamtym skazany jest na mit literacki, na formowanie świata sztucznego, poczętego laboratoryjnie, warzonego w alchemicznych retortach; świat taki nie potrafi zejść ze szczudeł na ziemię żywych ludzi. Daje to pojedyńcze piękności o niezwykłym nasileniu, lecz w sumie pozostawia uczucie czczości. W ten sposób Psarski konsekwentnie dociera do czystego b a r o k u, zarówno w obrazowaniu, jak w intensywności pośredniego przeżywania alegoryj (patrz typowy „Pielgrzym" oraz „Ofiary")

W tym ostatnim wierszu spotykamy nawet narzędzia tortur, owe rekwizyty, w których, wiadomo, lubowali się manierzyści neapolitańscy i hiszpańscy, pragnąc wywołać uczucie grozy, zachwytu, ekstazy. Nieskazitelny jest „Psalm", lecz w typie frazeologii to kontynuacja dawniejszego Lechonia. Zenitem zbioru natomiast jest zamieszczony przy końcu dłuższy poemat „Las" Próbuje tu poeta typu Psarskiego dokonać rzeczy dla siebie najtrudniejszej: usiłuje wysłowić p o c h w a ł ę z i e m i. Wspaniale ustawia teatralne swe dekoracje, zdobywa się na pełnię tonu, bez zarzutu wytrzymuje na jednakim poziomie swe sto wierszy Jest to tour de force, lecz udatny. Jak w wyniku nazwać taki rodzaj twórczości? Chyba dobrą, nawskroś literacką, czyli trochę nieżywą, a nawet papierową poezją, eksperymentalnym neoklasycyzmem, podszytym romantycznym niepokojem. Nie zapominajmy wszakże, że toute proportion gardée, podobnie postępował Mallarmé, prawodawca Valéry'ego.

III

Edwin Herbert ma już tom za sobą, który omówiłem gdzie indziej, tom, nie wykraczający poza blade zapowiedzi. Dla kogoś, kto nie śledził w poznańskim miesięczniku wierszy, zebranych obecnie, stanowić mogą one dodatnią niespodziankę. Nadal co prawda trudno byłoby twierdzić, iż

młody poeta osiągnął wyniki niewątpliwe, lecz tendencje, niegdyś zaledwie zarysowane, po niewielu latach, uwypuklają się tutaj z całą dobitnością.

Istnieje pewna zasadnicza trudność w ich ocenie i zakwalifikowaniu: są one aż tak odrębne, iż poza wielokrotnie już stwierdzonym uzależnieniem grupy całej od Leśmiana, jako podstawowego źródła inspiracji i swobody poetyckiej — nies osób ich do czegokolwiek w Polsce porównać. Niemniej droga, którą odbył autor, dojrzewając od zbioru pierwszego, jest zadziwiająco szybka i owocna. Ten marzeniowiec, zasłuchany w pogłosy wikingowskich ballad (posiada w sobie przymieszkę krwi skandynawskiej), tu, może bezwiednie, głosi wyzbyty iluzyj, a tym bardziej magiczny, heroizm zdobywcy. Tendencję tę możnaby przyrównać do postawy poetyckiej Stefana George'a w Niemczech, oraz do postawy tych wszystkich poetów i myślicieli, którzy wywiedli z niego swój rodowód. Zarazem, a nie stanowi to sprzeczności, jest Herbert typowym romantykiem pokroju Micińskiego, tonącym w symbolizmie, od którego często brak czytelnikowi jednoznacznego klucza; lecz romantykiem nie w znaczeniu, jakie zwykliśmy przypisywać mu w Polsce, jeno w tym, jakie determinowało niemiecką „Romantische Schule" przed słoma laty, w sensie przeto Novalisa, Arnima, Tiecka. Jest to poezja całkowicie pozbawiona uchwytnej empirycznie plastyki, liryka atmosfery i sugestyj, dla której każdy wiersz jest jakby w oczekiwaniu autora pojedyńczą zgłoską objawienia, które trzeba wyczuć i w następstwie rozbudować w całości, są to przeto wiersze-legendy, „godziny cudów", okupione „tysiączną samotnością" Religijność Herberta, a jest on nawskroś religijną naturą, podobnie jak wszyscy jego towarzysze z „Promu" przesycona jest pogańską udręką, żądzą stworzenia świata silniejszego od tego, który jest widzialny świata bardziej jeszcze zaczarowanego od tego, który uznano za rzeczywisty. „Nie pragnie ołtarza", podobnie jak Nietzsche w swych poezjach, a przecie modli się przed wielkim ołtarzem okrutnej natury i jeszcze okrutniejszej pustki. Pragnie ponad wszystko żądzą tęsknoty, modłów, zaklęcia ucieleśnić czar, choćby go zagrabić, jeśli trzeba.

„Ziemia jest dlań nieznana", przeto błaga o „męstwo w rozpaczy" Jest to w gruncie rzeczy poezja czystego doświadczenia wewnętrznego, uwikłana w skomplikowane determinanty współczesnego artysty, pragnącego wyłamać się od nowa ku niemożliwej dlań prostocie. To stwarza tragiczny jakowyś hermetyzm, któremu musimy zaufać na ślepo, lub też równie bez umotywowań całkowicie go zakwestionować. Tak czy owak, w obrębie gatunku tego, który usiłowaliśmy powyżej określić lub choćby zaznaczyć, mamy szereg wierszy pięknych, a nawet wstrząsających. Do nich zaliczyć by wypadło przede wszystkim: „Staw", „Przedmieście po zachodzie", „Czerwiec", utwór uderzająco przypominający nieznane z pewnością Herbertowi, analogiczne poezje wielkiego liryka francuskiego naszych dni, Supervielle'a, „Klasztor", „List z prowincji", świetną niesamowitą, balladową elegię, „Dar" wreszcie. Niemały, jak widzimy, w ramach szczupłego tomiku dorobek. Można różnie odnosić się do takiego rodzaju poezji; lecz przyznać należy, iż autor w sposób sugestywny osiągnął tu swoje zamiary, zrealizował intencje bezwiedne raczej, niźli jasno sformułowane: podjął próbę i w dużej mierze dokonał utworzenia symbolicznego epizmu. Czas, by się zwrócił do prozy, która piszącego sprawdza, nie pozwalając szukać i błądzić mu po omacku.

IV

Talentem, nie wiem, czy najbardziej wykrystalizowanym, lecz z pewnością najbardziej uderzającym spośród członków „Promu" jest Bronisław Przyłuski. Wszystkim miłośnikom autentycznej poezji pragnęlibyśmy zwrócić uwagę na to nazwisko, które dzisiaj już, gdy rozpatrzeć drugi z kolei tom autora, „Dalekie łąki", nie jest tylko obietnicą. Praźródło twórczości całej grupy, liryka Leśmiana, jest w danym wypadku bodźcem tylko, tym czynnikiem, który Przyłuskiemu pozwolił „odnaleźć się w swym jestestwie", inaczej mówiąc, w ogóle uświadomić sobie, że jest poetą. Mimo pogłosów autora „Łąki", mimo wreszcie nieprzypadkowego zapewne powinowactwa tytułów, świadczącego pięknie, ile kultu po dziś dzień uczniowie żywią dla mistrza, nie uszczupla to w niczym samorodności tej poezji. Liryka Leśmiana bowiem, niezależnie od zawsze żywej i czuj-

nej jego inspiracji, cierpi nieco na przerost literackości, więcej nawet: jest nawskroś estetyczna; Przyłuskiego natomiast o jakikolwiek ślad literackości posądzać nie podobna, nie ma tu nic z kalkulacji, wyrachowania, metody, przeciwnie: stwierdzamy spontaniczność, dochodzącą do bezkrytycyzmu (patrz na rażące niekiedy słownictwo, typ wyrazów takich, jak „miraże"), żywiołowość człowieka, chłonącego przyrodę wyczulonymi i ostrymi, jak u łowcy, zmysłami, która stanowi zarazem o rasowości tej nawskroś męskiej poezji. Nic z rozrzewnień, sentymentalizmów, rozczulań się, zalotnych weltszmerców; plastyka bezpośrednia, rzecz inna, że wizyjna; jest to przejmujące: scałkowana, organiczna niejako, prostota, usiłująca się uporać ze światem, a zatem z jego zagadkowością, prostota prawie niezróżniczkowana, taka, jaka bywa u marynarzy, matematyków, myśliwców, muzyków, prostota zdobywcza, pokorna, czysta, słowem: prostota heroiczna. Przyłuski należy do gatunku ludzi, którzy jak Conrad, wyruszali na podbój mórz i lądów, i którzy samotnie desperowali, że świat nie jest na miarę ich marzeń; dla których rozpacz i odwaga, tęsknota i waleczność, to było jedno: do rasy tych, którzy sądzą kulturę samym faktem swej egzystencji; do ludzi, pozbawionych kłamstwa.

Stąd szeroki oddech Przyłuskiego, oficera niewielkiego garnizonu; ziemia, której czaru nie przestaje opiewać w sposób urzeczony, utożsamia się dlań z zaklętą dziedziną imaginacji, nie ma tu rozdziału między rzeczywistością a poezją, zniesiony jest dawny, błahy, romantyczny przedział. Jest tu sporo wierszy, może nawet większość, w które niedość doświadczony autor wprowadza zbędnie labirynt, przez który żmudnie przedzierał się na powierzchnię słowa, lecz prawie w każdym z nich jest jakaś strofa pojedyńcza, lub szereg zwrotek, gdzie ściszoną melodią gadać poczynają prastare elementy ziemi, gdzie szepce woda zaczarowaną wargą, ptak, wabiąc kwili nad bagniskiem, gałąź krzewu jest gestem ponad wszystko wymownym. To zaklęcie przyrody trzeba jakoś ku sobie namówić, z samym sobą oswoić, guślarskie sprawować zamawiania, by móc wydźwiękiem balladowym, zaśpiewem niedopowiedzianym wysłowić tajemnicze istnienie tworów, niezależnych od człowieka. Stąd też w dalszej konsekwencji poczucie rytmu u Przyłuskiego jest na wskroś pierwotne, po prostu, ludowe, przypomina piosenki, bajdy i klechdy, nieporadne często, nie umiejące ku kunsztowi wydźwignąć się ze splątanych źródeł rasy i osobowości. Najpiękniejsze wiersze tego urodzonego liryka to jakby śpiew, przemocą powściągnięty, muzyka zerwana w połowie, a raczej niedopełniona, jakby odgraniczająca świat, którego ma być wyrazem, świat nieprzenikniony i dziewiczy, jak ona. Taki poeta nie jest wieszczem, wieszczbiarzem, wróżem, głosicielem czegokolwiek; jest natomiast mitotwórcą. A przecie nie są to jakieś mity martwe, literackie, zastosowalne byle gdzie; przeciwnie, to poezja rdzennie polska, a nawet słowiańska w swej magicznej nostalgiczności, w której zawarte jest to podstawowe uczucie, dla którego nie ma nazwania w innych językach: uczucie żalu. To też najprzedziwniejsze są elegie Przyłuskiego.

Do utworów pierwszoplanowych zaliczyć przede wszystkim wypadnie: „Modrzew i jabłonki", o pięknym malarskim zakończeniu; wyborne „Ręce"; „Wieczorną godzinę", jeden z najpiękniejszych i najprawdziwszych ze znanych mi polskich wierszy symbolicznych; znakomite „Samotne topole"; „Niewiadomo którędy iść trzeba..." o finale, godnym. bez przesady, „Pieśni kalinowych" Norwida; wiersz tytułowy; „Rycerze Filipa Czarnego", jedyna całkowicie oryginalna ballada w powojennej literaturze polskiej; wspaniała „Woda", o przedziwnym doborze zgłosek i rytmice, która zatrąca o niezapomniane miary wczesnych ballad mickiewiczowskich: „Honorka" wreszcie, wierszyk złożony z dziesięciu linijek, a który nazwać się godzi skończonym arcydziełem.

Pragnąłbym gorąco, aby Bronisław Przyłuski był niebawem głośnym poetą.

STEFAN NAPIERSKI

Prawdziwy przyjaciel „Kameny"
jest jej prenumeratorem.

NA WIERZCHOŁKU OJOS DEL SALADO

(Fragment z wyprawy w Andy argentyńskie)

Otwieram zmęczone oczy Słońce okrągłym światłem przenika przez śnieg na namiocie. Pookrywany Justyn leży nieruchomo. Jeszcze wolno spać, słońce niech tymczasem osuszy przysute śniegiem zbocza. Nie mam żadnych trudności w oddychaniu i mój stan fizyczny wydaje mi się bez zarzutu. Zagrzebuję się w ostatni sen.

Już późno, gdy się znowu poruszamy. Zeskorupiały śnieg na namiocie wykrusza się, mięknie, taje. Mierzymy sobie tętno, mój puls jest niespokojny, wykazuje 27, 25, 22, 17, 12 i 23 uderzenia na 30 sek., a po krótkiej przerwie 29, 19, 12, 14, 19 i 18. Pomiary te nie zmieniają mego nastroju: prawie spokojnie, prawie bez podniecenia nastawiam maszynkę metową i sięgam po zapasy śniegu.

Pod bezchmurnym niebem bezimienne wulkany połyskują wczorajszym śniegiem. Gdy patrzę prosto w niebo, widzę zerwiste turnie Ojos, wiszące tuż nad namiotem. Tu wśród filarów i kości skalnych śniegu prawie nie ma. Jakże blisko jest już cel — i jak wysoko...

Powoli topnieje śnieg w menażkach. Dokładam coraz nowe stwardniałe bryłki,—gdy sięgam po nie, patrzę na szczyt, który czeka na nas. Nie na nas (to śmieszne) — na ludzi. Teraz się inaczej uśmiecham: kondor doleci i nandu dobiegnie do pięciu tysięcy metrów — muł, lama i guanak dotrą z wysiłkiem tysiąc metrów wyżej, — ponad Tybetem, Puną i Pamirami nie ma już nic prócz skał.

Nie spieszyć się, przede wszystkim działać celowo i z opanowaniem. Nareszcie woda wrze, można w nią wsypać garść owsianki i dodać łyżkę masła. Jest to prawie nic, ale organizm da sobie radę z tym wstrętem do jedzenia.

Owomaltyna, dużo suszonego mleka, dużo cukru, ostatnie chwile wypoczynku. Jakież to szczęście, że nie trzeba teraz zwijać namiotu i możemy powrócić do gotowego obozu. Wydobywamy się ze śpiworów, składamy buty, wypełzamy z namiotu. Słońce 10. godziny wypala śnieg. Trwa zdumiewająca cisza i słyszę własny oddech po kilku wstępnych krokach.

To były trudne kroki. Tajemnicze powietrze nie dawało tlenu, a raczej dawało go w zbyt skąpych dawkach. Nogi były ciężkie, nie moje, i głowa miała obcy ciężar. W workach na plecach nieśliśmy już tylko przybory topo-i fotograficzne i jakieś drobne dodatki, a przecież nawet te drobiazgi ważyły Zażyłem koli, po raz trzeci i ostatni na wyprawie.

Zaczął się marsz, systematyczyny, wyliczony, z odpoczynkiem co kilkanaście kroków Szare zbocze kierowało ku płytkiej, pobielonej śniegiem depresji u stóp ściany szczytowej zachodniego wierzchołka. Z pod jej żółtych zerw przesunęliśmy się prawie poziomo na zbocze wschodniego wierzchołka. Zatoczywszy tu pełny łuk, w południe kończyliśmy wejście. Nie było to ani nagłe ani nieoczekiwane, przecież do ostatka musiał trwać system odpoczynków co parę chwil. A jednak, gdy niebawem osiągnęliśmy najwyższy punkt, nerwy drgnęły. Była godz. 12.30 dnia 26. lutego 1937. r.

Milcząco skuliłem się w kamieniach szczytowych. Wola, instynkt, nawet myśli, skoncentrowane i napięte w jednym kierunku, stały się czcze i jałowe. Odpocząć, odpocząć w euforii... Obudził się dobroduszny głód. Zjadłem całą tabliczkę czekolady i wyssałem pół cytryny. Justyn wziął się do azymutów. Znosiliśmy razem kamienie na kopczyk; rychło urósł do rozmiarów półmetrowego stożka. W przygotowanej puszce złożyliśmy nasze podpisy Prawie nie miałem nudności.

Pogoda była wzruszająca: cisza w promieniach pionowego słońca. Było więc wygodnie pobrać azymuty, fotografować, zebrać wrażenia widoku. Notowałem w notesie szczegóły kronikarskie, gdy Justyn rysował panoramę i szczegóły topograficzne. Było majestatycznie cicho i prawie ciepło. Płuca i serce pracowały spokojnie, Mówiliśmy niewiele, o sprawach najprostszych: o szczęściu (zdumieni bezwietrzną pogodą), o szczęściu (upojeni osobistym powodzeniem), o szczęściu wyprawy (że wypełniła więcej, niż obiecywała). Dwa dni jazdy mułowej i cztery dni marszu dzieliło nas od Tres Quebradas, bazy głównej, dyskusji o wyprawie na Ojos. Ileż nam przyznawali koledzy szans wejścia? Dwadzieścia na sto, pięć na sto? Wory były najcięższe, to prawda, i droga szła podwójnie, na przemian w górę i na dół. Ale i cel był najważniejszy.

Na koniec wziąłem widok. Ale nie chciałem, by był kliszą, by dawał opis, szczegół, ciągłość. Obraz logiczny i uporządkowany to suchy, fachowy materiał sprawozdań. Jego ciągłość rozerwie się we wspomnieniu i nazwy ulecą z pamięci. Pozostaną syntetyczne wizje czterech stron świata biblijnej grozy, zewsząd innej, a wszędzie równie martwej, apokaliptycznej. Góry na wschodzie, dalekie i bliższe, tworzyły odosobnione światy ruin skalnych i śnieżnych: tu pokutnicze zapadliny dzieliły poszarpany El Muerto od zamczystego Sin Nombre, a śnieżną głownię San Francisco od wulkanicznej lawy Nevado Incahuasi. Na południu wygasłe wulkany, olbrzymie stogi z kraterami w pośrodku, wulkany bazaltowe, białe i czerwone, tworzyły

pogmatwaną mapę plastyczną, model w kosmicznych wymiarach Od zachodu przyszliśmy, od wysokiej głębi Trzech Jezior, od rzek pumeksu i soli, od lodowców na górnej Punie, zawalonych piargiem. Aż ku północy walił się w przepaść mur Ojos, spadał dwa tysiące metrów w dół, ku olbrzymiej kamiennej wyżynie, leżącej już poza argentyńską granicą, gdzie pustynia i słońce, gdzie żwir i saletra przeglądały się w wodzie Laguny Zielonej, tej laguny, która Campo Tres Cruces zalega. Poza nią idą dalsze góry, każda wyższa niż Alpy, góry przestrzeni nieskończonej i kolistej, gdy mi się wydaje, że to te same, które 300 km dalej nazywają się już inaczej wokół Famatiny i Dos Hermanos. To jest już koniec myślowy i uczuciowy, i zmęczone oczy zamykają się same.

Szczyty Trzech Wąwozów i Trzech Krzyżów, Szczyty Wheelwrighta, Gaya i Domeyki wznoszą się poniżej nas, nawet Bezimienne Wulkany, nawet Nevado Pissis zaznaczają się niżej niż my Wśród gór bez historii, nie wpisanych na mapy, nie szukałem porównań i nie szukałem oskreśleń; same powracały, ułożone już niemal w formułę: przyrody pięknej, ale posępnej i starczej, księżycowej przyszłości ziemi, wizji umierania. Piarg trwa dłużej niż życie i wznosi się wyżej. Na zrębach najwyższych gór ustawiamy kopce zdobywcze.

W ciszy dnia jednego na wiele dni równowaga myśli, uczuć i nerwów była wartością sukcesu. Zachodni wierzchołek, oddalony na rzut kamieniem, ale oddalony trudną jeśli nie niedostępną granią, przypominał Krywań i Tatry. W ciemnej twarzy Justyna oczy świeciły gorączkowo. Obok nas prawie nigdzie nie ostał się śnieg, dopiero głęboko w dole rysowały się białe kopuły Gór Śnieżnych i zaklęsłe rzeki lodowców. W pozażyciowej ciszy szumiał samolot, szumiał od dawna, choć dopiero teraz jego dźwięk przeniknął do naszej świadomości. Samolot tutaj, w głębi pustyni, 7 km nad poziomem morza? Justyn pierwszy zrozumiał i zobaczył, zawołał mnie. Z krawędzi wierzchołka można było dojrzeć na skraju wielkiej kotliny penitentów paręset metrów pod szczytem, potężny jakby gejzer lub szczelinę wulkaniczną, pulsującą wielką parą. Z tych głębokich szybów szedł ów szum, szeroki niepokojący Justyn mruknął: „Muszę koniecznie sfotografować".

Tu przyszło odprężenie. W widoku egzotycznym, gdzie już nie chodzi o nieznane szczyty, ale o całość nieznanych gór i dolin, lądu, o który powiększyliśmy świat, w widoku pierwszych ludzi w kręgu tej rzeczywistości, odnalazłem ambicje geograficzne, orientacyjne i inne, ów tak częsty kompleks próżności, Ojos

del Salado, z pośród wysokich szczytów andyjskich najmniej znany i najbardziej tajemniczy — wyślemy telegram i będą o nas mówić. To nie ma znaczenia, to jest śmieszne, a jednak muszę o tym pamiętać. Będzie zapisane na zawsze: że to my Podaję dłoń zawistnym, którzy błaznują na dole. Ale ten gest nie jest szczery. Alpinizm fachowy zapisuje datę, godzinę, itinerarium, horarium, szczegóły techniczne i klimatyczne. Atrakcja jest najtrudniejsza, gdy płuca łakną tlenu.

Na Incahuasi podniosły się pierwsze mgiełki. Gorące słońce płynęło nieprzebraną falą przez mróz powietrza w spoczynku. Minęły dwie godziny wysokości 6870 metrów Wyczerpałem do końca treść rzeczową i emocjonalną, straciła swój sens pamięć, przestały być ważne myśli miejskie i sportowe, gra celów, zamierzeń, osiągnięć i wartości, wreszcie ja sam. I to był szczyt Nevado Ojos del Salado, góry większe niż wymierny świat, radość.

Nadeszła pora powrotu. Białą plamką na szerokim zboczu uwydatniał się opływowy namiocik szturmowy. Zeszliśmy szybko ku niemu. Niebo zajęły chmury, sypnął śnieg, wiatr zmienił go w śnieżycę. W szumie spóźnionej zawiei zapadł w poezję i w nicość Ojos del Salado, szczyt Puny, drugi szczyt Ameryki, drugi szczyt poza Azją, łup II wyprawy w Andy, nasz łup. Fakt równie prosty jak wytapianie lodu na mecie.

Pomyślałem o Pacyfiku, który zobaczę za miesiąc.

JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI

ANTYFONA ZA POLEGŁĄ MŁODZIEŻ 1918.

Tym, co padli jak bydło, jakich pożegnań dzwony?
Tylko dźwięki kanonad zagrzmią w gniewnych hukach,
a jazgot karabinów nad polem spiętrzony
modlitwę gorączkową pośpiesznie wystuka.
Żadnych drwin, modlitw żadnych. i niech nikt nie trąca
ciężkich dzwonów żałoby Dla nich tylko chóry
pękających granatów — ostre i jęczące —
i trąbek z smutnych siedzib apel brzmi ponury.
Jakie świece im przynieść, by blask zgorzał w łunę?
I nie w rękach chłopięcych, ale w ich spojrzeniu
święte blaski pożegnań światło rozpłomienią,
a bladość czół dziewczęcych będzie im całunem.
Ich kwiatów woń miłością czułą, niezagasłą,
a każdy zmierzch powolny opadaniem zasłon.

WILFRED OWEN
z angielskiego przełożył Jerzy Kamil Weintraub

KRONIKA SŁOWIAŃSKA

W sierpniu r. b. zmarł Martin Razus, jeden z wybitniejszych poetów, powieściopisarzy i polityków słowackich.

*

Ostatnie lata wykazują duże zainteresowanie Słowacji literaturą polską.

W roku ubiegłym Matica Slovenska wydała „Wierną rzekę" Żeromskiego w przekładzie Mikulasza Stano. Reymonta „Chłopi" już w r. 1926 doczekali się przekładu wydanego w Rożomberku. Wydawnictwo „Slovaka" wydało świeżo powieść Kossak Szczuckiej „Tempo" Druga powieść autorki kobiecej, Nałkowskiej „Książę" pojawiła się w r. 1935 w słowackim przekładzie St. Mecziara nakładem kobiecego wydawnictwa Żiwena.

Popularny w Słowacji jest Makuszyński. W ciągu ostatnich lat dwie jego książki ukazały się po słowacku: „Panna z mokrą głową" wydana przez Maticę Slovenską (1933) i „Skrzydlaty chłopiec", który się ukazał nakładem Mazacza w Pradze (1935). Matica Slovenska wydała również Ossendowskiego „Żywot i przygody szympanski" (1936), a poprzednio w Bibliotece dla dzieci Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Maryśce" Wreszcie w ubiegłym roku (1936) nakładem Spolku Svateho Vojtecha w Trnawie pojawiły się przekłady Wiktora „Tęcza nad sercem" i Morcinka „Byli dwaj bracia".

Obok utworów powieściowych tłumaczone są i poezje. Dużo tłumaczy Andrzej Żarnov; niedawno ukazał się jego zbiorek tłumaczeń z poezji polskiej pt. „U polskych basnikov" zawierający przełożone utwory Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Asnyka, Konopnickiej, Kasprowicza, Langego, Tetmajera, Micińskiego, Staffa, Tuwima i Słonimskiego. Kilka innych, niezawartych w zbiorku przekładów ogłosił jeszcze ostatnio Żarnov na łamach czasopism „Slovenske Pohlady" i „Elan". W „Slovenskych Pohladach" pojawiło się ponadto parę tłumaczeń ze Staffa i Tuwima dokonanych przez Stanisława Mecziara.

Tłumaczone są i utwory sceniczne: w r. 1935 „Slovenske Narodne Divadlo" w Bratysławie wystawiło Słonimskiego „Rodzinę", w ubiegłym roku (1936-37) Szaniawskiego „Adwokat i róże", a obecnie przygotowuje do wystawienia Iwaszkiewicza „Lato w Nohant".

*

Młoda poezja ukraińska poniosła w lipcu r.b. wielką stratę. Zmarł świetnie zapowiadający się poeta Bohdan Igor Antonycz, autor zbiorków „Powitanie życia" (Lwów, 1931), „Trzy pierścienie" (Lwów, 1935) i „Księga lwa" (Lwów, 1936). Zmarły pisarz był laeuratem nagrody Tow. Literatów i Dziennikarzy oraz Ukr. Zw. Katolickiego we Lwowie (za zbiorek „Księga Lwa"). „Kamena" niejednokrotnie zamieszczała przekłady poezyj Antonycza.

*

Nakładem L. Mazacza w Pradze ukazał się wybór liryki polskiej w przekładzie czeskiego tłumacza Jana Karnika pt. „Poesie svobodné Polsky" Pięknie wydana książka zawiera utwory Mich. Pawlikowskiego, J. Kasprowicza, Karola H. Rostworowskiego, L. Staffa, Or-Ota, K. Makuszyńskiego, K. Iłłakowiczówny, W Bunikiewicza, J. Pietrzyckiego, J. Ejsmonda, J. Birkenmajera, E. Zegadłowicza, J A. Gałuszki, J. Tuwima, J. Brauna, M. Pawlikowskiej, A. Madeja, J Brzostowskiej, J Liberta, J. Sztaudyngera, A. Fierli, W Czereśniewskiego i W Bąka. Jak widzimy, mozaika nazwisk nadzwyczajna. Czytelnik czeski, biorąc je wszystkie za równorzędnie czołowe pozycje, może otrzymać na podstawie tego wyboru o współczesnej poezji polskiej fałszywe pojęcie, a o istnieniu takiego np. Wierzyńskiego, Lechonia, Przybosia czy Czechowicza nie dowie się wcale. Mimo tych braków ukazaniu się tej książki jako etapowi zbliżenia czesko-polskiego należy gorąco przyklasnąć. A nakładowi (3000 egzempl.!) tylko pozazdrościć.

NOTY

W OSTATNICH MIESIĄCACH LITERATURA POLSKA poniosła bolesne straty. Odeszli Józef Ujejski, autor świetnego studium „O Konradzie Korzeniowskim", Edward Porębowicz, laureat tegorocznej nagrody literackiej Lwowa, doskonały tłumacz „Boskiej komedii" i „Don Juana"; wreszcie Tadeusz Pini zasłużony historyk literatury.

DLA UWAŻNYCH CZYTELNIKÓW poematów Mariana Czuchnowskiego nie okazał się niespodzianką świetny debiut poety w powieści pt. „Cynk". Zarówno „Trudny życiorys", jak też „Powódź i śmierć" zawierały w sobie nadmiar żywiołu epickiego rozsadzającego formę poetycką, jaką sobie Czuchnowski w tych utworach narzucił. Wyczuwało się, że prędzej czy później autor będzie musiał wkroczyć na teren powieści. Uczynił to obecnie dając w „Cynku" sugestywny obraz całokształtu życia więziennego na prowincji tak, jak ono obecnie wygląda, gdy więźniowie polityczni przebywają razem z kryminalistami. W posłowiu autor zastrzega się, żeby w powieści nie szukać jego „wspomnień osobistych". Nie mniej jednak wyczuwamy, że bez przymusowych studiów w „terenie" tak wzruszająca w swej surowej prostocie i tak prawdą tchnąca książka powstać by nie mogła.

WŚRÓD DZIENNIKÓW, na ogół niewiele uwagi poświęcających literaturze pięknej, dodatnio wyróżnia się „Krakowski Kurier Wieczorny". W niedzielnych numerach tego pisma znajdujemy stałą kolumnę literatury i sztuki, zasilaną przez wybitnych literatów krakowskich (Fik, Kruczkowski, Piwowar). Redakcja stara się również pozyskać pióra i spoza Krakowa, jak o tym świadczą zamieszczone ostatnie przekłady Stefana Napierskiego.

UKAZAŁ SIĘ OSTATNI (30.) NUMER „OKOLICY POETÓW". Po półtrzeciarocznym borykaniu się z trudnościami finansowymi i obojętnością społeczeństwa red. St. Czernik stwierdza, że „gdy nowych złudzeń zabrakło, a z dawnych nie utkała się trwała rzeczywistość, dalsze ukazywanie się pisma okazało się niemożliwe". A szkoda wielka. Miesięcznik był pozycją wartościową i wielu młodych poetów związało się z nim serdecznymi nićmi. Był zresztą jedynym w Polsce pismem poświęconym wyłącznie poezji i jej sprawom. Może właśnie ta ekskluzywność „Okolicy" wywołała jej upadek? A teraz quis sequens?

W OSTATNIM (108.) ZESZYCIE „TATERNIKA" ze zdziwieniem znaleźliśmy dłuższą, bo bez mała stronicową, notę o tatrzańskim n-rze „Kameny". To zainteresowanie się alpinistycznego czasopisma literaturą sprawia, niestety, dość dziwne wrażenie. Oto treścią uwag p. Z. D. jest najpierw krytyka „Fragmentu powieści" Szczepańskiego. Stwierdziwszy, że „z taternickiego punktu widzenia" utwór ten „niewiele ciekawego przynosi", a jego „literacka strona" krytyka „nie interesuje", autor notatki z przedziwną logiką przytacza szereg zdań Szczepańskiego, które mu się nie podobały i których literacką ocenę wspaniałomyślnie „pozostawia fachowcom". Skończywszy w ten sposób z J. A. Szczepańskim p. Z. D. zabiera się do „Godzin" Marii Szczepańskiej, na których zatrzymuje się dłużej. Znowu szereg cytat i dużo niesmacznych uszczypliwości zmierzających do wykazania, że „ten oryginalny konglomerat" nie ma nic wspólnego z taternictwem i że „redakcja Kameny padła ofiarą wierząc, iż wystarczy użyć kilku techniczno-taternickich wyrażeń, aby produkcja pisarska reprezentowała taternickość numeru tatrzańskiego". Otóż, panie Z. D.: — „Kamena" jest pismem ściśle literackim i nie „taternikość" tego czy innego utworu, lecz jego wartość artystyczna legitymuje go w naszym miesięczniku. „Taternickość" może być probierzem wartości utworu jedynie na łamach „Taternika", gdzie jednak nie powinna była się znaleźć powyższa nota, nasuwająca podejrzenie, że recenzja z tatrzańskiego n-ru „Kameny" posłużyła jedynie za parawan do celów ubocznych. „Taternik" b. sympatycznie interesuje się literaturą i b. życzliwie wspomina nieraz o „Kamenie", byłoby nam niezmiernie przykro, gdybyśmy znowu kiedyś byli zmuszeni do napisania podobnych jak w tym wypadku uwag. Nie tracimy nadziei, że we własnym zrozumiałym interesie redakcja „Taternika" w przyszłości uniknie tego rodzaju przykrych dla siebie „nieporozumień" kaj

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Jan Brzękowski: Spectacle metallique Paris, Ed. Sagese

Teodor Bujnicki: W połowie drogi, Wilno 1937

Olga Daukszta: Błękitne inicjały, Dyneburg 1933

Antoni Gronowicz: Niedroga recepta, Lwów 1937

Henryk Jacek: Słowa o wodzu, Rzeszów 1937

Mieczysław Jastrun: Strumień i milczenie, Warszawa, T-wo Wydawn. 1937

Wanda Karczewska: Ludzie spod żagli, Wyd. „Biblioteka Polska" 1937

Paweł Kubisz: Przednówek, Czeski Cieszyn 1937

Michał Lermontow: Demon (przekł. Ireny Słomińskiej) Warszawa, Hoesick, 1937

Franciszek Lipiński: Kraków stary, 1936

Helena Platta: Kręgi na szkle, Lublin 1937

Jan Reychman: Przewodnik po Podhalu, Spiszu, Orawie i północnej Słowacji, Warszawa, Gł. Ks. Wojsk. 1937

Jan Karnik: Poesie svobodné Polsky, Praha, Mazacz 1937

Koloman K. Geraldini: Rosa v kalichu, Trnava ed. Slovo 1936

Matej Jevjak: Pod naszu zastavu, Bratislava 1929

Matej Jevjak: Nasz kraj, Bratislava 1930

Matej Jevjak: Kytica szipowych ruži, Zubrohlava 1935

Viliam Kopeczny: Czlovek hlada svoj ukol, Nove Zamky 1930

Viliam Kopeczny: Okno do jara, Bratislava 1937

Celestin Lepaczek: Ernest Psichari, Trnava, Urbanek, 1937

Vladimir Rolko: Z patricijskej zahrady, Turcz. St. Martin 1930

Vladimir Rolko: Blahoslavenstvo slepych, Turcz. St. Martin 1935